

JACEK KOZŁOWSKI

# Wielcy inni: depresje

**SZYMBORSKA, RYMKIEWICZ, BIELICKA**

## OSOBY:

- WISŁAWA SZYMBORSKA
- JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ
- HANKA BIELICKA

1.

WISŁAWA SZYMBORSKA Mogę już wyjść. To wyjdę, bo wstawiłam wodę na herbatę. Zawsze mam w czajniku gorącą wodę, bo liczę, że w końcu odwiedzi mnie Woody Allen i zrobimy razem wycinanki-wyklejanki. Mam dla niego przygotowane takie boskie koty: jednego z głową Freuda, jednego z głową Marksa, jednego z głową Morgana Freemana, bo on też wygląda jak mędrzec, i jedną taką grubą, brzydką kocicę z głową Mii Farrow. A przy okazji wiedzą państwo, jak się mówi na kota z głową Mii Farrow? Miau Farrow. Czekam na Allena, ale z moim szczęściem to na herbatę przyjdzie Katarzyna Kolenda-Zaleska z kamerą. I znowu będę musiała robić sobie zdjęcia pod znakami drogowymi i palić papieroski na gwizdek. Naprawdę, na raka płuc to po tym jej dokumencie nie zmarłam tylko dlatego, że jestem dobrze wychowana. Zresztą raz w życiu zemściłam się: wysłałam jej anonimową wyklejankę z trzema

królami i podpisem „Hej, Kolęda, Kolęda”. Do tej pory się zastanawiam, czy to trochę nie za mocno?

Ja najchętniej to bym została w domu, a do oficjalnych wyjść znalazła kogoś na zastępstwo. Myślałam kiedyś o Mistrzu Yodzie, nawet chciałam do niego dzwonić z propozycją pracy, ale pan Michał Rusinek powiedział, że on nie istnieje. Po odbiór Nobla miałam plan wysłać sobowtóra, niestety Anna Dymna odmówiła. A mogłam zostać w Krakowie, otworzyć kubełek złocistych kurczaczków z KFC i obejrzeć Nobla przed telewizorem. Kiedyś poczęstowałam złocistymi kurczaczkami Czesława Miłosza, skłamałam, że własnej roboty, uwierzył. Definicja oderwania od świata. Przesiedzieć iks lat w Ameryce i nie znać smaku złocistych kurczaczków. U mnie jadł ze smakiem, aż mu te jego słynne włoski we brwiach tańczyły makarenę. Gdybym żyła, tobym je nakręciła telefonem komórkowym i wysłała do „Zeszytów Literackich”. Wszystko mi zawsze puszczają, co im wyślę. Ale każdy ma taką tablicę na Facebooku, na jaką sobie zapracował. A znają państwo ten żart? O czym myśli Czesław Miłosz, kiedy jest głodny? O Polsce. Nawiasem mówiąc, czasem się mnie dziennikarze pytali, kto jest moim ulubionym współczesnym poetą. Odpowiem, że w sumie myślałam chwilkę o Miłoszu, ale jednak, przez wzgląd na kurczaczki, wybieram glutaminian sodu. Każdy kawałek szarawej brei potrafi zmienić w prawdziwy, kolorowy kawał mięsa. Źle państwo wyglądają, proszę jeść więcej złocistych kurczaczków. Człowiek wtedy nabiera kolorków. Kiedyś zaproponowałam „Zeszytom Literackim”, że im poprowadzę rubrykę z poradami o zdrowym trybie życia. I był to ten jedyny raz po Noblu, kiedy nie dostałam z redakcji odpowiedzi.

To ja już będąc szła, bo wstawiłam wodę na herbatę. To nie jest noblowski poziom dowcipu. Ale jeśli państwo sobie myślą, że żart nie może być jednocześnie śmieszny i nieśmieszny, to mam państwa opinię tam, gdzie nie mieści się Nagroda Nobla, przynajmniej gdy trzymać ją w pudełeczku.

Wyrecytuję wiersz. To taki mój pierwszy pomysł na przetrwanie wystąpienia publicznego. Drugim moim pomysłem jest przebranie się za krzak. Na jakimś lotnisku poetyckim przebrałam się za krzak tak brawurowo, że nie minęło dziesięć minut, jak przyszedł do mnie Jerzy Pilch z jakąś młodą damą uprawiać miłość francuską. Czasami też proszę publiczność o jakieś pytanie. Bo dziennikarzy to nie ma sensu prosić, zawsze pytają, skąd czerpię inspirację. Odpowiedź jest prosta, jak byłam mała, to wpadałam do kociołka. Tak naprawdę opanowałam parę sztuczek poetyckich. Pierwsza sztuczka poetycka: szybko, bo herbatę dla Woody’ego wstawiłam, wiersz musi powstać powoli. Powoli, czyli wolniej, niż się w *Modzie na sukces* zawiązuje intryga o niechcianą ciążę, to jest definicja powoli.

Przedstawię może obrazowo tę jednostkę czasu: Brooke zachodzi w ciążę, ale ojcem jej dziecka nie jest Ridge (jej mąż), tylko Thorne (jego brat), z którym poszła do łóżka, bo myślała, że Ridge nie żyje, bo

wpadł do kotła w Ameryce Południowej. Brooke mówi Thornowi, ale nie mówi Ridgeowi, następnie rodzi dziecko. Thorne mówi Brooke, że chce być częścią życia akurat tego dziecka. Ridge, który jednak żyje, bo nie wpadł do kotła, tylko obok kotła w Ameryce Południowej, podслу- chuje tę rozmowę i wymusza na Brooke test na ojcostwo. Brooke wdaje się w romans z laborantem, żeby podmienić wyniki testu, ale nakrywa ich Stephanie (matka Ridge'a i Thorne'a), która przyszła sobie zrobić test na HIV, bo ugryzła ją dzika małpa w Amazonii. Stephanie nazywa Brooke ladacnicą i dostaje zawału. Rodzina łączy się w obliczu zagrożenia i intryga po trzech latach się kończy. Razem z definicją „powoli”. Kiedyś Adam Michnik chciał ode mnie wiersz na szybko, to się raz w życiu zgodziłam. Umówiliśmy się na termin za dwa lata o tej porze. Muszę powiedzieć, że prawie wyrobiłam się w terminie, miałam tylko niecałe półtora roku opóźnienia. Ja rozumiem, życie dzisiaj pędzi, dzieci, podatki, umowy śmieciowe, kredyty hipoteczne. Ale to jeszcze nie powód, żeby sobie żyły wypruwać i pisać po jednym wierszu rocznie. Pan profesor Leszek Balcerowicz, miły człowiek z fajną żoną, kiedyś siedzieliśmy w Piwnicy pod Baranami i zeszło na moją poezję. Schowałam się za całoroczne bazy i wytrzymałam wątek. Balcerowicz powiedział, że sukces moich wierszy jest dowodem na istnienie niewidzialnej ręki rynku. Po prostu fakt, że można wyżyć z pisania na wolnym rynku jest dowodem na istnienie jakiejś niewidzialnej ręki. To był pierwszy i ostatni żarcik profesora Balcerowicza. Ale drugi, mój, też tu pasuje: Jak brzmi najsłynniejszy powieściowy cytat o niewidzialnej ręce rynku? „Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu.” Antoine de Saint-Exupéry *Mały księżę*. Ale bądźmy przez chwilę serio: niech państwo nie myślą, że ja nie ubolewam nad losem młodych literatów. Dochodzą do mnie wieści, że młodzi poeci dzisiaj nie mają z czego żyć. Słyszałam, że za poezję autorom nie płacą, że drugiego Miłosza już po prostu nie będzie. Otóż proszę państwa, ja to sprawdziłam u źródła i muszę powiedzieć, że to nieprawda. Pan Michał Rusinek utrzymuje się z poezji i żyje bardzo dobrze.

I tu bym płynnie przeszła do drugiej z moich sztuczek poetyckich, ale muszę wyjść, bo wstawiłam wodę na herbatę. Liczę, że Woody mnie w końcu odwiedzi i pobawimy się w pisanie limeryków na czas. Chociaż z moim szczęściem... znowu przyjdzie Katarzyna Kolenda-Zaleska z kamerą i będę musiała pić czwarte espresso do dubla. Naprawdę na naciśnięcie wtedy się nie przekreśliłam tylko dlatego, że śmierć sobie zaplanowałam od prawego sierpowego Andrzeja Gołoty. Pan Rusinek zdobył do niego numer telefonu, ale (aż sobie zaklnę) jak chujowo, musiałam umrzeć we śnie. Wrócę jeszcze do tego filmu Kolendy, pamiętam jak dziś: stała nade mną i uzgadniała z panem Rusinkiem, czy jej tefauenowska mikrokamera zmieści się w penisku mojej ulubionej figurki Adoniska sikającego koniakami. No, nie zmieściła się, bo penis Adoniska był za mały. A prosiłam pana Rusinka, mówiłam, że zgodzę się na film dokumentalny, ale niech poprosi Herzoga. To ten przyszedł z Kolendą i powiedział, że to jest taki tefauenowski Herzog.

Ja już bym wolała, żeby przyszła redaktor Ewa Drzyzga, chociaż bym miała ciekawe podpisy. „Wisława Szymborska, 80 lat, zbiera śmieszne figurki, bo nie ma swojego życia”. Proszę państwa, ja przepraszam, to nie jest noblowski poziom dowcipu. Chociaż z drugiej strony: Lech Wałęsa też dostał Nobla. Niby pokojowego, ale wszyscy wiedzą, że tak naprawdę należał mu się literacki. Ale jeśli państwo sobie myślą, że żart nie może być jednocześnie śmieszny i nieśmieszny, to mam państwa opinię tam, gdzie Katarzyna Kolenda-Zaleska z kamerą nie zagląda, bo nie stoi obok znak drogowy z nazwą miejscowości. Poza tym, te żarty wynikają z nerwów. Zawsze mi pan Rusinek powtarzał, że gdy tylko mam wystąpić publicznie, zaczynam się zachowywać jak skrzyżowanie Emila Ciorana z Tadeuszem Drozdą. Lubię ten żart, zawsze po nim wiem, kto z publiczności jest zainteresowany rumuńską szkołą filozofii egzystencjalnej. Generalnie ostatecznie zmierzam do refleksji o śmierci, ale po drodze wpadam sobie na złociste kurczaczki. To ja tylko o tych swoich sztuczkach poetyckich dokończę i mogę sobie iść, bo wstawiłam wodę na herbatę. Szanowni państwo, wiersz nie może być zaangażowany. Jak państwo czują się za bardzo zaangażowani, proszę sobie iść do fast foodu, zjeść zestaw powiększony. Człowiek się robi ciężki i od razu idzie spać. Jak raz w życiu się zaangażowałam w pisanie wiersza, to mi wyszła pośmiertna elegia dla Józefa Stalina. Do dzisiaj żałuję. Ale jak idzie ten mój wiersz o Stalinie? Nikt nie wie. Z tym wierszem o Stalinie to jest jak z niewidzialną ręką rynku, nikt jej nawet nie widział, ale niektórzy cały czas się nią masturbują. Stalin. To był mój jeden jedyny wyskok w poezji! Potem się przestraszyłam tego zaangażowania i zrobiła się ze mnie taka poetka środka, aż przyjaciel się ze mnie nabijał, że gdybym napisała zwrotkę wiersza o kolejce do komory gazowej, to w następnej dla równowagi poklepałabym każdego z kolejki po ramieniu i powiedziała: „Nie martw się. Przyszłość ma na imię Polska”. Ja wiem, że państwo się przyzwyczaili, że poeta zajmuje jakieś bardziej stanowcze stanowisko w sprawach świata, ale nic państwu na to nie poradzę, że świat potraktował mnie dobrze. Tak jak i ja świat. Przeszłam suchą stopą przez cały dwudziesty wiek i jedyną masakrą na większą skalę, jaka mnie w życiu spotkała, był atak mołdawskich terrorystów na ślub pod koniec piątego sezonu *Dynastii*. Może i nuda, ale jeśli się państwu wydaje, że w życiu nie może być jednocześnie nudno i ciekawie, to mam państwa opinię tam, gdzie Akademia Noblowska od lat trzyma tomiki Adama Zagajewskiego.

Mam co prawda w zanadru jeszcze niejedną sztuczkę poetycką, ale nie wiem, czy zdążę je państwu zdradzić, bo wodę wstawiłam. Każdego poranka czekam na Woody’ego Allena ze świeżą herbatą, Woody nie przychodzi, a ja wtedy rozglądam się po półkach tej swojej kolekcji rozmaitych dziwactw. Zawsze powtarzałam, że człowiek nawet nie wiedział, jaki może być kreatywny, dopóki nie wymyślił plastiku. Więc rozglądam się i widzę: nakręcaną zakonnicę, co pierdzi iskrami, płyn do mycia okien „Franciszkańska 3”, solniczkę w kształcie głowy Czesława Miłosza, która jeśli jej użyć do solenia, sugeruje, że Miłosz

miał problem z lupieżem. Nie pamiętam wszystkiego, co na półkach składowałam, chociaż zwykłam powtarzać gościom po loteryjkach, że o wielkości człowieka świadczą dwie rzeczy: skłonność do publicznej autokompromitacji oraz fakt, że trzyma wibrator na widoku. Znacnie ten składzik z filmu Kolendy. Jej marzeniem było, żebym weszła z całą swoją kolekcją do piaskownicy pod blokiem, a ona mnie taką nakręci. Szybko się zorientowałam, że mogłaby jej z tego wyjść całkiem niezła scena, więc powiedziałam „nie”. Trudno, zawsze mi się wydawało, że nie ma na świecie lepszej dekoracji do czekania niż plastik. A ja sobie tak w tym plastiku siedziałam i czekałam, że może jednak Kornel przyjdzie na herbatę i porobimy razem wycinanki-wyklejanki. To lepiej na wszelki wypadek zostać w domu. *(śpiewa)*

śpiewam cię  
 smutek twój  
 strach rozcieńczyć chcę

niosę ci jeżyn kosz  
 na pociechę jedz

śpiewam czas  
 każdy dzień  
 co spopielił się

ziarna te  
 z których plon  
 marny  
 żaden był

chciałabym móc zanurzyć głowę  
 w strumieniu twojej świadomości  
 bezpowrotnie  
 chciałabym przez judasze oczu  
 twoich łagodnych  
 spojrzeć  
 kto tam? kto jest w środku?

śpiewam żal  
 ciężar słów  
 które więzi krtań

niosę ci świeży chleb  
 niosę wina łyk

chciałabym móc zanurzyć głowę  
 w strumieniu twojej świadomości  
 bezpowrotnie

chciałabym przez judasze oczu  
 twoich łagodnych  
 spojrzeć  
 kto tam? kto jest w środku?

chciałabym móc zanurzyć głowę  
 w strumieniu twojej świadomości  
 bezpowrotnie  
 chciałabym przez judasze oczu  
 twoich łagodnych  
 spojrzeć  
 kto tam? kto jest w środku?\*

2.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ W szesnastym wieku było pięć sposobów wykonywania kary śmierci – wieszanie, wbijanie na pal, palenie na stosie, ćwiartowanie, ścinanie. Ja swojego starego jeża z ogródka w Milanówku postanowiłem nadziać na pale. A było to tak. Po jednej stronie mojego ogródka znajdował się jeż. Po drugiej stronie ogródka wykopałem dołek, umieściłem w nim paliki, zasypałem gałązkami. Na gałązkach położyłem „Gazetę Wyborczą”, bo kocham swoją żonę i nie chciałem, żeby mi tam wpadła. Żona się zawsze cofa o dwa kroki, gdy widzi „Gazetę Wyborczą”. Od tamtej pory, drodzy państwo, wstaję rano w Milanówku, otwieram oczy, patrzę na jeża, patrzę na dołek z palikami. I od rana mam zrobioną zajebistą dramaturgię ogrodu!

Gdybym ja wiedział, że życie jest w gruncie rzeczy głęboko chujowe i że będę musiał jeża na ogrodzie mordować, żeby się nie popłakać, to jeszcze przed urodzeniem ugryzłbym matkę w pępownię i nie byłoby na świecie życia! Niektórym się wydaje, że płody nie mają świadomości. Niektóre może nie mają, ale ja zawsze byłem ponad wiek rozwinięty. Budzę się po raz pierwszy, patrzę: lepko, ciemno, ciasno i za gorąco. Grzyb, ścisk i wilgoć jak w Polskiej Akademii Nauk. Pierwsze słowa, które mi przyszły do głowy w macicy, brzmiały: o Boże! No tak głęboko to się może pomylić mądre bobo w drogach rodnych, ale każdemu, kto robi siku do nocniczka i jeszcze nie jest ateistą, obcinałbym głowę i dawał do zjedzenia moim kotom w Milanówku. Nie robię tego tylko dlatego, że mi się nie chce. Wróćmy do zgnilizny życia płodowego. Matka Rymkiewiczowa przez całą ciążę miała bóle, a to tylko ja sobie skrobałem paznokietkiem po jej łożysku swoje pierwsze smutne wierszyki: „Wpełza robak istnieniowy w to istnienie, jakie jeszcze to mogłoby mieć znaczenie”.

Potem to zebrałem, wydałem *Zachód słońca w Milanówku* i dostałem Nike za tomik poetycki. Ale Michnik musi być wkurwiony, że mi dał tę

\* *Kto tam? Kto jest w środku?*, słowa: Katarzyna Nosowska, muzyka: Paweł Krawczyk, Katarzyna Nosowska.

Nike. Podobno teraz na każdym zebraniu opierdala redaktorów Kurskiego, Wrońskiego i Siedlecką, że maszyna czasu jeszcze niezbudowana. Posłanka redaktorka Lichocka zrobiła śledztwo, podobno budują to w tajnym laboratorium pod parkingiem Agory. Widziałem zdjęcie, jest dużo żarówek: niebieskich, białych i czerwonych. Pewna kategoria ludzi nigdy nie wyrośnie z chujowej metafizyki Kieślowskiego. Mówiąć wprost: Michnik ma plany, że się przeniesie w czasie, zabierze mi Nike, a pieniądze wpłaci na fundusz obiadowo-edukacyjny dla Jasia Kapeli. No, sami przyznacie, że ten Michnik to jest jednak kutasem. Pomyślcie: siedzicie sobie tutaj ze mną i pracujecie nad globalnym rozpadem planety, a tymczasem Adam Michnik pleśniej w Agorze i buduje maszynę czasu. Adamie Michniku, i tak mi mojej Nike nie zabierzesz. Nawet gdy się cofniesz w czasie. Jak znam siebie sprzed lat, to taki ci spuszczę łomot, że ochroniarze z Agory będą cię legitymować przy wejściu! Myśląc o tobie, Adamie Michniku, zastanawiałem się, jak usprawiedliwić historycznie mowę nienawiści i przemoc wobec niepełnosprawnych. I napisałem zajebistą książkę, w której udowadniam, że chamstwo i prostactwo to nie jest wcale chamstwo i prostactwo, tylko spontaniczne intelektualne odwołanie do idei złotej wolności szlacheckiej. Jarosław Marek Rymkiewicz, *Samuel Zborowski*, Warszawa, dwa tysiące dziesięć. Jeśli ktoś nie jest w stanie przeczytać tej książki w całości, przytoczę argumentację w skrócie: „Dlaczego? Bo tak!”. Jednak literatura potrafi być piękna.

Czasem się mnie pytają, jaki jest mój prawdziwy stosunek do świata. Sporo mówi o mnie fakt, że gdy piszę książki, zaznaczam kolorami najbardziej wkurwiające fragmenty. Na czerwono te, które wkurwią „Newsweek”, na różowo te, które wkurwią „Tygodnik Powszechny”, na niebiesko te, które wkurwią „Rzeczpospolitą” i na żółto te, które wkurwią „W sieci” i „Do rzeczy”. „Gazety Wyborczej” nie zaznaczam, bo ją akurat u mnie wkurwi wszystko. Przed wysłaniem do wydawnictwa rozwieszam to na ścianie, więc środowiska gejów i lesbijek szukające nowej wkurwiającej tęczy zapraszam do siebie do Milanówka. Jak się robi ciemno, to wiewiórki w krzakach po lewej zwykle urządzają sobie darkroom, więc będziecie czuć się jak w domu. Żona mi mówi: nie wkurwiał prasy prawicowej, to zostaniesz Ministrem Poezji i Ogrodnictwa. A ja jej na to, że gdyby prasa prawicowa rozumiała moją ironię, to nie drukowałaby co tydzień tych chujowych wierszyków o Smoleńsku i samolocie. Mnie osobiście wkurwia całe społeczeństwo, a także dźwięk, jaki wydają sowy pohukujące nocami na drzewie. Czasem wychodzę do tych grubych, szarych kulek o piątej rano i się pytam: „Drogi panie, a co wy se tu na prywatnej posesji Twin Peaks urządzacie?! Ten ogród dostał kiedyś Nike!”. Jak zauważyliście, moją ulubioną energią z repertuaru wszechświata jest wkurwanie. Bo sekretnie marzę o rozjebaniu tego świata na kawałki, takie malusieńkie mini kawałeczki, a wkurwienie każdego pojedynczego człowieka i zwierzęcia przybliży mnie do tej wymarzonej przeze mnie kosmicznej katastrofy. Jak już będę czuł, że za miesiąc umrę... Niektórzy mają w oku gej radar,

a ja mam śmierć radar. Patrzę ludziom w oczy i wiem, kiedy umrą. Na przykład pani. Umrze. Jutro. Także po spektaklu kwiaty proszę do mnie, a dla tej pani wieniec. Więc jak już wyczuję, że za miesiąc umrę, wydaję mój przygotowany zawniczasu sekretny, megawkurwiający manuskrypt i tak nim wkurwuję cały świat, że się kula ziemiska zagotuje, zabalęgocze i wyleci w powietrze od samej tylko lektury Jarosława Marka Rymkiewicza. Trzymam go w piwnicy, owiniętego w „Gazetę Wyborczą”, żeby żona nie zaglądała. Przeprobowałem na niektórych ludziach: Kulczyk, Geremek, Władziu Bartoszewski i mój ulubiony Czesław Kiszczak. Ale jednak nie na wszystkich tak dobrze działa. Wyobraźcie sobie: dałem go do przeczytania posłance redaktorce Lichońskiej i nic się z nią złego nie zadziało. Czekam jeden dzień: nic. Drugi dzień: nic. Pytam – czytałaś? Czytałem! I co? A ona na to: Fajne, ale twoja teczka w ipeenie fajniejsza. Ja naprawdę się czasem zastanawiam, z czego są te kobiety pisowskie zbudowane. Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowych, ale wydaje mi się, że Jarosław Kaczyński poprosił Czesława Bieleckiego, żeby je trochę przeprojektował. I teraz wszystkie są zbudowane jak nowy budynek TVP: w środku zamiast duszy – beton i stal, a zewnętrzna bryła fantazyjna, ale bez sensu. Mnie kręcą takie kobiety. I takie masakry. Uważam, że z pewnego punktu widzenia Krystyna Pawłowicz jest tak samo piękna jak powstanie warszawskie.

Ale my tu gadu gadu, a państwo są pewnie ciekawi, co się dalej dzieje z jeżem w ogródku w Milanówku? Otóż postanowiłem utrudnić sobie zadanie i wbiłem przed dołkiem z palikami taką tabliczkę z ostrzeżeniem „Uwaga, przepaść. Przejście objazdem”. Postanowiłem premiować u jeża myślenie abstrakcyjne. Mówiąc wprost: jak to przeczyta, to nie umrze. Niewykluczone, że może go ostrzec jakaś wiewiórka. Albo sikorka, co akurat usiądzie na tabliczce, schyli się, przeczyta tekst i powie mu: „Stary, nie wchodź tu, bo zginiesz”. W ten sposób premiuję u zwierząt także solidarność i myślenie grupą. Jak wspominałem nadrzędnym celem i niespełnionym marzeniem jest dla mnie takie wkurwienie ludzkości, żeby aż ziemia się od tego rozpadła na takie super małe kawałeczki, które następnie polecą w stronę Słońca i efektownie przypieką się w gwiazdnym żarze. Wiem, wybitny intelektualista, a jakie proste ma marzenia. Na mojej drodze pojawiają się trudności. Sami państwo rozumieją, że jako pisarz polski, przy tych nakładach, możliwości działania mam ograniczone. Ja działałem, ja się staram. Ja pisywałem okropnie wkurwiające poezje smoleńskie do „Gazety Polskiej”. Bez efektu. Ja nawet zaangażowałem żonę i kierownictwo kolei WKD w próbę porwania Michela Houellebecqa. Myślę sobie, porwę gnoja, podszycę się, wydaję książkę jako Houellebecq w milionowym nakładzie, zekranizują ją, świat się wkurwi i rozpadnie na kawałeczki. Nie wyszło. Co prawda ciągle pracuję nad porwaniem J.K. Rowling. Myślałem chwilę nad porwaniem E.L. James i Stephanie Meyer, ale brzydziłbym się trzymać w piwnicy takie mierne literatki. Wydaje mi się niestety, że aby skutecznie i szybko rozjechać tę planetę, zanim sam się przekręcę,



muszę zrobić coś, czego nie robiłem nigdy w życiu. Muszę państwa o coś prosić.

Wszystkich, którym leży na sercu zniszczenie tej idiotycznie okrągłej planety, proszę o sumienną codzienną pracę nad wkurwianiem zarówno siebie, jak i innych przedstawicieli gatunku ludzkiego oraz niektórych zwierząt. Jeśli włożymy w to wszyscy trochę serca, uruchomimy obecne na ziemiach polskich od dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku złe energie i zniszczymy życie na Ziemi. Jeśli ktoś nie wierzy, że wszystko jest przygodne i pozbawione sensu, niech obejrzy odcinek *Kuchennych Rewolucji*, w którym Magda Gessler poślizgnęła się przy wejściu w drzwiach restauracji. Wiem, że nie wszyscy państwo myślicie samodzielnie, przygotowałem więc listę przykładowych działań rozkurwiających do powtórzenia w domu. Zaczynajcie od prostych rzeczy. A potem się będziemy wspinać na wyższe poziomy trudności. Jednego dnia przesolicie komuś kotleta, a drugiego poprawicie pas z bombami i zawiezecie na dworzec. Bądźcie bezinteresownie wredni, a ostatecznie ubijecie na tym interes. Damy radę! Bo Polsce potrzebna jest chujowa zmiana! Pamiętajcie, czasem nie wystarczy być po prostu złym człowiekiem. Czasem trzeba być Polakiem!

Cokolwiek złego się wydarzyło, wydarzy się raz jeszcze, tylko gorzej. Kometka już zmierza w kierunku Milanówka. Wasza kolejka WKD nie dojedzie do Warszawy. Jeź wpadnie do dołka, a za nim sikorka, wiewiórka, borsuk i kot, które popędzą mu na pomoc. Paliki przez dwie doby będą rozplątywać im wnętrzności, a ja sobie będę robił z nimi selfie i wrzucał na fanpejdza „Gazety Polskiej”. Codziennie. Adam Michnik nie zbuduje maszyny czasu, a ja będę sypiał z nagrodą Nike pod łóżkiem. Danuta Stenka nigdy już nie wystąpi w teatrze, tylko bez końca będzie oceniać debili na basenie. Powstanie warszawskie wybuchnie jeszcze trzy razy, a powstańcy po ciężkim dniu walki będą oglądali program *Jaka to melodia*. Sowa Minerwy nie wyleci o zmierzchu, bo spierdoliła sobie rytm dobowy. I świat rozpadnie się nieoświecony, a ja już zadbam o to, żeby być wtedy w epicentrum!

A gdy moją żonę w nocy obudzi sowa albo kaszel i zapyta się mnie „Jarek, dlaczego nie śpisz?”, odpowiem jej, że nie mogę, bo piszę krwawe bajki. A oczy będą mi się świecić jak mojemu kotu. Gdy znowu pójdzie spać, a ja się wsłucham w ciszę. Usłyszę. Że wszystko mrze. Namiera. Pomiera. Obumiera. Przemiera. Mrze bardzo. (*śpiewa*)

Saturn zimnem Ziemię smaga  
 Łód się w moje serce wkrada  
 W oku chętnie się sadowi  
 I marzenia moje chłodzi

Czas od pięć mnie cicho zjada  
 Truchtem biegnie do sąsiada  
 Gasi blaski dusi słowa  
 Radość do rękawa chowa

A planety szaleją, szaleją, szaleją i śmieją się, śmieją się, śmieją  
 A planety szaleją, szaleją, szaleją i śmieją się, śmieją się, śmieją

Patrzę w lustro na przyjaciół  
 Jacyś mniejsi pokorniejsi  
 W półuśmiechach, w półmarzeniach  
 W gestach, pozach bez znaczenia

Życie płynie bez pośpiechu  
 Bez uśmiechu i bez grzechu  
 Bez smutku, strachu, bez radości  
 Bez nienawiści, bez miłości

A planety szaleją, szaleją, szaleją i śmieją się, śmieją się, śmieją  
 A planety szaleją, szaleją, szaleją i śmieją się, śmieją się, śmieją\*

3.

HANKA BIELICKA Śnił mi się kiedyś taki sen. Byłam na jakiejś zagranicznej plaży. Słońce, piasek, mowy, wszystko ładnie, pięknie. Idę sobie, idę, jak to ja, odwalona niczym ruski czołg na wjazd do Warszawy: rękawiczusie, torebunia, kapelusik, kokardka. Idę sobie, idę. Idę, idę, idę. Aż tu nagle fala wyrzuca pod moimi białymi szpileczkami ponton pełen martwych mężczyzn. Przechodzę dalej, myślę sobie: całkiem przystojni mężczyźni, ale jednak niewychowani. Tak mi od razu do nóg padać, a gdzie flirty i kolacja? I taki to jest właśnie los charakterystycznej aktorki komediowej, że nieważne od czego rozpocznie, musi zawsze skończyć żartem. Chyba że zacznie od mężczyzny, wtedy musi skończyć żartem o seksie. W przeciwnym razie czuje się na scenie jak polski arcybiskup na konferencji o bożym miłosierdziu, czyli nie na miejscu. To był wbrew pozorom żart seksualny. Boże miłosierdzie to powinna być górna granica seksualności każdego arcybiskupa.

Wróćmy do moich koszmarnych snów. Innym razem mi się śniło, że gram główną rolę w sztuce Sary Kane, *Psychosis 4:48*, kończę po brawach, schodzę zrezygnowana, inspicjentka pyta: Pani Haniu, co się stało? Co pani taka nie w sosie. Mówię jej, kochana moja, nie w sosie, nie w sosie, bo nawijałam tekst przez półtorej godziny i nikt się ani razu nie zaśmiał. Inny koszmar, jeszcze gorszy, też grałam u Sary Kane w *Psychosis 4:48*, kończę po brawach, inspicjentka pyta: Pani Haniu co się stało? Co pani taka nie w sosie? Mówię jej: nie w sosie, nie w sosie, bo nawijałam tekst przez półtorej godziny i wszyscy się, kurczę, śmiali. I to jest właśnie los charakterystycznej aktorki komediowej: jak nie halny, to tsunami, jak nie zatwardzenie, to sraczka, bez nadmuchanego ego długo nie pociągniesz, ale od nadmuchanego ego popękasz. Jak po

\* *Szał niebieskich ciał*, słowa: Kora, muzyka: Marek Jackowski.

pierwszej nocy z nowym mężczyzną było złe, to niczego dobrego na przyszość nie wróży. A jak było dobrze, to też złe, bo może być już tylko gorzej. Śnił mi się kiedyś taki koszmar, że grałam sztukę Sary Kane *Psychosis 4:48* i nagle poczułam, że jestem na scenie goła, golusieńka, tak jak mnie Pan Bóg stworzył, tylko gorzej, bo pięćdziesiąt lat później. I jestem goła, goła, goła i nie wiem, co mam z tymi cyckami swoimi zrobić, normalnie to bym je wzięła do góry i schowała pod kapeluszem. Ale potem się uspokajam, że okej, że wszystko jest w porządku, że co prawda jestem goła, ale zgodnie ze scenariuszem. To jest zresztą cecha narodowa. Wszystko może wyglądać chujowo, ale jak wygląda chujowo zgodnie ze scenariuszem, to nie wygląda najgorzej. I to są właśnie sny aktorki charakterystycznej komediowej. Ale cóż poradzić? Do głowy starej diwy nie wchodzi się bezkarnie. Kiedyś miałam taki koszmar, śniło mi się, że grałam w sztuce Sary Kane *Psychosis 4:48*. Wyjątkowo kończę zadowolona, ale za to inspicjentka jakaś nie w sosie. Pytam, co się stało? A ona na to: Jak to, co się stało? Tak szybko pani dziś napierdalała pani Bielicka, że całe *Psychosis* zagrała pani w dwadzieścia minut, w tym kwadrans samego umierania. Podobno człowiek inteligentny w każdej sytuacji znajdzie jakieś plusy. Więc plus tej sytuacji jest taki, że gdyby organizowano zawody w graniu *Psychosis* na czas, mogłabym z palcem w nosie wygrać z Magdaleną Cielecką. Już to widzę, tablica wyników: Magdalena Cielecka czas: sześćdziesiąt przecinek zero. Hanka Bielicka: czas cztery przecinek czterdzieści osiem. Kiedyś mój eksmąż zapytał się mnie: Haniu, czemu ty tak szybko mówisz? Odpowiedziałam mu, że jako charakterystyczna aktorka komediowa ćwiczę szybkie mówienie, bo marzę o tym, żeby kiedyś ludzie zaśmiali się z puenty, zanim jeszcze zrozumieją żart. Kiedyś Irena Kwiatkowska jak chciała być złośliwa, powiedziała mi, że gdyby po scenie Teatru Syrena przejechał traktor, którego silnik terkotałby w tym samym rytmie co ja, to ludzie śmialiby się odruchowo w przerwach na tankowanie. Irena oczywiście miała rację, ale zanim jeszcze się z tego zaśmiejecie, zastanówcie się, kto jest w tej anegdocie prawdziwym idiotą. Ha, do głowy starej diwy nie wchodzi się bezkarnie. Jesteście tutaj na tym wieczorze kabaretowym jak stado sępów nad obozem koncentracyjnym. Idzicie w życiu na łatwiznę. Pardon, ale taka jest tu zasada. Nieważne, na czym zaczynamy zdanie, kończymy na żarcie. Widzicie, na jaką presję jestem narażona. Zupełnie jak Irena Kwiatkowska w urzędzie pracy. Już, już, już publiczność taka zaniepokojona, bo zdanie się skończyło, a nie było śmiesznego. Kwiatkowska w pośredniaku każde gówno musi wziąć, bo żadnej pracy się nie boi. Całe szczęście, że człowiek może pójść spać i chociaż przez parę godzin nie musi być zabawny. Chociaż moja gosposia mówiła, że chrapię w tym samym rytmie co gadam i że to w sumie bardzo śmieszne. Już nie wspominając, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć śni mi się, że gram w *Psychosis 4:48*. Notabene, wiecie, jaka jest różnica między teatrem tradycyjnym a teatrem postdramatycznym? Teatr tradycyjny musi grać *Psychosis 4:48* o czwartej czterdzieści osiem. Nie śmiećcie się, to nie koniec. A wszystko dlatego,

że widzowie teatru tradycyjnego będą myśleli, że czwarta czterdzieści osiem z *Psychosis 4:48* to jest godzina rozpoczęcia spektaklu. Mówienie żartu to jest jak uciekanie przed Niemcami do komory gazowej. Żyd co prawda tam zginie, ale Niemcy z rozpędu wbiegną za nim. W Teatrze Syrena nie mogłam mówić holożartów, to teraz sobie odbijam. Pytałam się kiedyś dyrektora Korpolewskiego, dlaczego nie mogę, to powiedział, że różowe pióra w dupie nie pasują do powagi sytuacji. Prosiłam go, że skoro tak, to niech mi chociaż da zagrać *Psychosis 4:48* na jubileusz sześćdziesięciolecia na scenie. A on na to, że nie, bo kto normalny chodzi do teatru o czwartej czterdzieści osiem. Że skoro tak bardzo chcę, to mogę sobie zagrać *15:10 do Yumy*. Musiałam się zaśmiać, bo to był w końcu żart dyrektora, ale cholernie był nieśmieszny. Spytała się mnie kiedyś jakaś dziennikarka, czy mam jeszcze w życiu jakieś marzenia. Odpowiedziałam, że tak, mam. Chciałabym, żeby mi się raz przyśniło, że gram w jakiejś innej sztuce Sary Kane. Albo w ogóle w innej sztuce. Jak to naprawdę trzeba uważać, o co się prosi. Bo następnej nocy przyśniło mi się, że gram wszystkie role kobiece w miksie spektakli Mai Kleczewskiej. Wyciągnęłam z tego pewne wnioski estetyczne. A mianowicie w ładnym kapeluszu nawet wielka kupa wygląda elegancko. A jak się jeszcze poperfumuje, to już w ogóle jest cała do schrupania. I to jest, kochani moi, największa przyjemność charakterystycznej aktorki komediowej. Jak publiczność myśli, że ty już doszłaś do Częstochowy, a ty dopiero w McDonalddie. Notabene, śniło mi się kiedyś, że grałam w *Psychosis 4:48* i publiczności tak się podobało, że aż na brawach musiałam powtórzyć samobójstwo. Ja w realnym życiu też się, proszę państwa, chciałam zabić, jak mi serce zламаł taki jeden łachudra dziennikarzyna radiowy. I już prawie się zabiłam, ale w ostatniej chwili pomyślałam, że jednak szkoda, że po wszystkim nie zobaczę reakcji publiczności. I pojawiło się śmieszne w zdaniu o samobójstwie, macie, po co przyszliście, sępy obozowe. Dla mniej kumatej publiczności trzymam w zanadrzu inną końcówkę tej anegdoty: że już prawie się zabiłam, ale w ostatniej chwili przypomniało mi się, że zostawiłam kapelusz w przedpokoju. W sumie pogrzeb to prawie jak premiera w teatrze, tylko kwiatki się trzyma horyzontalnie. I przyjmuje też horyzontalnie. Z próbą samobójczą w CV poszłam do Niny Terentiew, która mnie w latach dziewięćdziesiątych eksploatowała jak wagon Warszawy olej słonecznikowy. Pytam się jej: Ninka, a nie wyprodukowałabyś mi Sary Kane, *Psychosis 4:48* w ramach swojego Teatru Telewizji? A ona do mnie, że o czwartej czterdzieści osiem to ona nie może, bo ma wtedy na antenie bardzo ważne powtórki. Proszę państwa, proszę słuchać uważnie, jesteśmy na tropie upadku intelektualnego dziesięcioletniej medialnej elity. Nina zawsze miała do mnie słabość, więc pyta się mnie: Hanka, a ta Sara Kane to napisała jeszcze jakieś inne sztuki? Odpowiadam jej, że tak. Na przykład *Łaknąć*, a ona na to, że fajnie. To ona to puści przed *Biesiadą*, bo widzowie Dwójki szykują się wtedy do obiadu. Czasem mam wrażenie, że problem z kulturą w tym kraju polega na tym, że władarze rozmaitych instytucji wyłączają telewi-

zor jeszcze przed napisem „Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń jest przypadkowe”. Już od piętnastu sekund nie było nic śmiesznego, ale miejcie litość, ja tu jestem odtwarzana jako kobieta grubo po siedemdziesiątce. Znam ludzi, którzy w tym wieku myślą, że akcja *Psychosis* dzieje się o ósmej czterdzieści cztery. Był żart? Był! To się teraz na chwilę odpierdolicie.

Czasem się siebie pytam, Haniu, co byś jeszcze chciała dla siebie zrobić? Paniusie w sanatoriach mnie nauczyły, że w pewnym wieku na pytanie „co bym jeszcze chciała?” odpowiada się zawadiacko „jeszcze jeden okład borowinowy”. No to tak. Rewia holokaustowa w teatrze Syrena raczej nie dojdzie do skutku. Dyrekcja mówi, że nie stać jej na taką ilość bucików. Nie wypada śmiać się z cudzych marzeń i holokaustu, tak że idziemy dalej. Swojego wielkiego nosa już nie poprawię, liftingu nie wykonam, żylaków nie zlikwiduję, szczególnie że prawy układ się w Deltę Nilu, a lewy w drogę mleczną. Są to być może dwa ostatnie elementy na moim ciele, które mężczyzna może studiować z zainteresowaniem. W sprawie *Psychosis 4:48* też już się właściwie poddałam. Chociaż gospoia mi ostatnio podpowiedziała, że godzina jest taka wczesna, że może powinnam spróbować przepchnąć pomysł w telewizji śniadaniowej. Swoje kapelusze zjadam po jednym dziennie, bo gdy umrę, chcę mieć w sobie chociaż pojedynczy element, z którym się w pełni identyfikuję. I jeszcze mam fantazję najważniejszą. Każdy komik o tym marzy, ale nikt tego głośno nie powie. Cóż, Hanka Bielicka jak dziwka koszarowa, zawsze umalowana, do pracy przygotowana i na linii frontu najpierwsza. Otóż chciałabym, żeby państwo, wszyscy jak tu siedzą, umarli na moim występie ze śmiechu. Możemy spróbować, to jest czysty układ. Win – win, każdy wygrywa. Państwo dostają pogrzeb w kościele katolickim, bo to jednak nie było planowane samobójstwo, do tego tydzień żałoby narodowej, reportaże biograficzne w TVN dwadzieścia cztery i pomnik na Krakowskim Przedmieściu z podpisem: „Poległym na występie Hanki Bielickiej. Rodacy”. I jak zawsze, ten sam problem, co przez całe życie. Z napisu jednoznacznie nie wynika, czy byłam taka dobra, czy taka chujowa. Ale spokojnie! Na moim występie nie umrzecie. Czytałam trochę książek na ten temat. I mam złą wiadomość. Podobno, żeby umrzeć ze śmiechu, trzeba się jednak w dowcip troszkę wczuć. A nie chichrać się bez sensu za każdym razem, kiedy starsza pani w kapeluszu robi przerwę na oddychanie. Dlatego na pytanie mojego eksmęża: „Haniu, dlaczego ty tak szybko mówisz?”, odpowiedź brzmi: „Mam nadzieję, że pewnego dnia na scenie, w trakcie monologu zapomnę wziąć oddech i umrę”. Ale proszę się nie obawiać, jestem profesjonalistką. Umrę dopiero po puencie, więc na pewno zdążą się państwo wcześniej zaśmiać. (*śpiewa*)

Naprawdę jaka jesteś nie wie nikt  
Bo tego nie wiesz nawet sama ty  
W tańczących wokół szarych lustrach dni

Rozbłyska twój złoty śmiech  
Przerwany w pół czuły gest  
W pamięci składam wciąż  
Pasjans z samych serc

Naprawdę jaka jesteś nie wie nikt  
To prawda niepotrzebna wcale mi  
Gdy nie po drodze będzie razem iść  
Uniosę twój zapach snu  
Rysunek ust, barwę słów  
Niedokończony, jasny portret twój

Uniosę go ocalę wszędzie  
Czy będziesz przy mnie, czy nie będziesz  
Talizman mój, zamyśleń nagłych twych i rzęs  
Obdarowana tobą miła  
Gdy powiesz do mnie kiedyś: wybacz  
Przez życie pójde oglądając się wstecz

Naprawdę jaka jesteś nie wie nikt  
To prawda niepotrzebna wcale mi  
Gdy nie po drodze będzie razem iść  
Uniosę twój zapach snu  
Rysunek ust, barwę słów  
Niedokończony, jasny portret twój\*

K O N I E C

\* *Jej portret*, słowa: Jonasz Kofta, muzyka: Włodzimierz Nahorny.